Rozmaitości

Dnia 20. Maja **Nr 20.** 1837 Roku.

KRWAWY SKARB.

POWIEŚĆ.

I.

Byłato noc czarna i wietrzna, jak wszystkie noce listopadowe pod naszém polskiém niebem. Twierdza Zamościa od dawna w głuchym śnie spoczywała; inny cię tam nie dolatał odgłos prócz mierzonych, ciężkich stąpań szylwachów po wałach, prócz hasła przelatującego z ust do ust dokoła twierdzy, i tupotu przeciągających patrolów. Pośród téj massy murów ciemnych, ponurych, jeden tylko gmach szpitalny jaśniał oświetlony. W jednéj z sal dolnych, z oknami mocno zakratowanémi, błyskało mniéj żywe światło i wyziérała surowa nędza; byłato infirmeryja złoczyńców, skazanych na dożywotne więzienie. Przy jedném oknie téj sali, młody mężczyzna w mundurze wojskowego chirurga, oparł szérokie czoło o pręty żelaznéj kraty i zatapiał się w jakiemeś posępném dumaniu. Długo tak zostawał w téj saméj postawie, aż wyjął z bocznéj kieszeni pulares, w którym zwykł był zapisywać codzienne swoje przypadki i wrażenia, jakich doświadczał; oko jego spoczęło na jednym ustępie dziennika, i zaczął go czytać dość nizkim głosem:

»...Cóż po życiu bez szczęścia, a jestże szczęście bez majątku? Bogactwo! oto droga do wszystkiego... ten tylko występny, kto się na téj drodze pośliznie. Popełnij podłość, lecz zostań bogatym, a w ciągu życia zapomną ludzie o téj chwili twojéj słabości. Ależ zgryzota sumienia!... niczém jest w porównaniu z doskwierającą nędzą. Nie wiém, co nas więcéj dręczy w bezsennych nocach, czy żądza niezaspokojona, czy niepokój ze zgryzoty duszy? Czy tak, czy owak, nieznane mi są męczarnie skalanego sumienia; ale wiém dobrze, jaka to męka pragnień swych nie módz zaspokoić... Najoczywistsza loika uczy mię, że raz potrzeba przestać być ubogim... Ubogi nie żyje: bo żyć jest-to miéć w posiadaniu siebie, a ubogi tego właśnie nié ma. W rzeczy saméj, cóż on ma, jeźli nie wolność — umiérać? Mam lat dwadzieścia siedem, lubię zabawy, podróże, wdzięki kobiety... a skazany jestem na nieustanne krajanie trupów, lub przywracanie życia łotrom na to, aby dłużéj cierpieli. Przezcożem na tę kolej losu zasłużył? Czemuż zamiast wesołego śpiewu kochanki, ustawnie mam słuchać jęki konania i bluźnierstwa gorączki? Taki wstręt czuję od tego życia, że kto wié, czybym się nie odważył na zbrodnię... lecz dziś i o korzystną zbrodnię trudno!... gdzie jéj szukać? rzadkito ptak, i nie każdy go złowić się odważy... Nie ręczę też, czyli poczciwość trzech czwartych części rodzaju naszego nie zawisła od trudności popełnienia zbrodni i — od tchórzostwa!«

Na téj ostatniéj myśli młody ów człowiek zatrzymał się, jakby chciał zmierzyć całą jéj głębię. W znak potwierdzenia uderzył ręką po papiérze, i znowu opiérając czoło na kracie, zapadł w długie dumanie.

Umiejącemu czytać w tajnikach duszy, osobliwszy byłby przedstawił się widok tego młodzieńczego umysłu, oburzającego się na własne ubóstwo, i narzekającego na trudność popełnienia zbrodni. Mimo tego, zgłębiwszy go dobrze, łatwo można było w tym przewrotnym kierunku jego pomysłów znaleźć więcéj obłąkania, niż zepsucia. Niemoralność jego bynajmniéj nie pochodziła z występku, lecz z pragnienia dobrego bytu i ambicyi,

dwóch zwyczajnych słabości, na które młodzież zapada w chwilach gorączkowych i niestałych.

Ludwik Zorian w rzeczy saméj należał do rzędu tych ludzi, którzy nie chcą przyjąć miejsca, jakie im świat daje, lecz pragną sami wybiérać, i którzy tyle czasu trawią zazdroszcząc drugim losu, ile potrzeba, aby pracą nań zarobili. Urodzony w stanie średnim, musiał jedno z dwojga obiérać, albo zostać ubogim, albo pracować, aby wyjść z ubóstwa; Ludwik ni na tę, ni na ową nie przychylając się stronę, wolał powstawać przeciw niesprawiedliwościom losu i nierówności społecznéj. Tak więc porównywając się zawsze z drugimi przez szkło zawiści, wszystko widział w fałszywém świetle, i jadem sofistycznych rozumowań zarażał i psował swój umysł młodzieńczy. Porwany żądzą uciech życia, do tego celu wszystkie swe czyny odnosił. Samo nawet uczucie powinności zatracało się w tém jego dążeniu; już stanął był na tym punkcie, że usprawiedliwiał każdy środek, byle do celu prowadził. W rozumowaniu przebiegł on całą drogę występku, tylko do czynu nie miał czy sposobu, czy odwagi; chociaż wola się chwiała, wstręt jednak tajemny w nim walczył; kto wié, może téj niespokojnéj duszy było tylko cel pokazać szlachetny, wpuścić kroplę słodkiego uczucia w czcze serce, a ożywiłaby się jego konająca cnota. Dusza Zoriana była jak okręt, co czeka na wiatr, aby podług niego żagle swe skierował, i albo puścił się prostym lotem lub też błędny szedł, gdzie go fala poniesie. Stan to niebezpieczny, w który wpada najwięcéj tych ludzi, co nie dobrze umieją umysłem panować nad chuciami zmysłów.

Dobra godzina upłynęła jak Zorian oddał się tym dumaniom, których treść czytelnicy wiedzą, gdy w tém dozorca szpitalny doniósł mu, że *numer siódmy żyć przestał.* Młody nasz chirurg leniwo i jakby z żalem odchodził od okna. Między dwoma rzędami łóżek poszedł ku *numerowi* wskazanemu sobie, gdyż w szpitalu więźniów, chory nie ma nazwiska; chory jest tam jak przechodzień, nikt go nie zna, łóżko tylko jest przedmiotem pieczy. Zorian przyszedłszy do *numeru siódmego* odsłonił kołdrę, zarzuconą umarłemu podług zwyczaju na głowę, i wpatrzył się weń ciekawie. Owe tajne pomysły widocznie ustąpiły przed miłością nauki; instynkt lekarza obudził się na widok trupa.

Z lekka położywszy mu rękę na czaszce, wpatrywał się przez chwilę w muskuły twarzy, potém jakby chciał sprawdzić jakieś spostrzeżenie lub objaśnić wątpliwość, kazał przenieść ciało jego do sali sekcyjonalnéj.

Nieboszczyk nielada mógł być przedmiotem nauki dla jakiego zwolennika Galla lub Lawatera. Przekonany o złodziejstwo z rozbojem i skazany na dożywotne cierpienia, Wataszka przeżył lat dwadzieścia po różnych więzieniach, ciągle przemyśliwując nad sposobami ucieczki. Pietnaście razy udało mu się wymknąć, pietnaście razy go schwytano, i za każdą razą skatowano kijmi. Te tak częste chłosty, sypane bez liczby, zrobiły go kaleką i chorowitym, lecz nie zdołały go z więzieniem pogodzić; zdawało się, że żądza dostania się na wolność rosła w nim w miarę większych trudności. Musiano nakoniec uciec się do ostatecznych środków; przykuto go do muru, włożono mu żelaza z 30funtową kulą, i nie puszczano na chwilę. Ten ostatni środek odjął mu nadzieję ucieczki; już się jéj wyrzekł, lecz zapadł w ciężką chorobę. Prawie od dwóch tygodni zostawał w infirmeryi do chwili, gdzie się nasza powieść zaczyna.

Dozorca wszedł z służalcami, i umarłego przeniesiono do sali sekcyjonalnéj.

Zorian przez chwilę wpatrując się w tę istotę, która tyle wycierpiała przez życie dla skruszenia łańcucha, którego koniec wisiał mu jeszcze po śmierci u nogi, przysunął lampę, i uzbroił się nożem dla zrobienia sekcyi. Lecz w chwili, kiedy ujął trupa za rękę, uczuł niejaki opór. Zdziwiony i prawie przejęty trwogą, nachylił się ku ciału i podniósł mu głowę aż do lampy; powieki z lekka mrugnęły; przysunął bliżéj światło... Oczy otworzyły się! Zorian odskoczył i osłupiał. Trup zaś podniósł się pomału, usiadł i z niespokojnością poglądał do koła. Młody chirurg oniemiał i stał jak przykuty, nie wiedząc co się to dzieje. Potém spostrzegł więźnia, spuszczającego się ze stołu i podążającego ku oknu, i wnet zrozumiał ten wybieg. Zdarzało się nieraz, że więźniowie w udanéj śmierci szukali sposobu ocalenia się ucieczką; poznał, że to był podstęp i ochłonąwszy z pierwszego przestrachu, rzucił się za uciekającym

i schwycił go za barki, wtenczas, kiedy miał okno przełazić. Więzień usiłował się wyrwać, lecz chirurg nie puścił zdobyczy, i tak zaczęli się na dobre szamotać; — siły nie były równe, bo ten nagi, znędzniały, nie mogąc się dłużéj opiérać, upadł na ziemię.

»Widzisz bracie, żem trochę mocniéjszy od ciebie,« rzekł chirurg, przytrzymując go kolanem pod sobą, »nie ujdziesz mi tak łatwo.«

Złoczyńca, chcąc się wydobyć z pod niego, targnął się raz jeszcze, lecz poznawszy, że nic nie wskóra, nie opiérał się więcéj.

»Puść mię, puść mię; na Boga! panie Zorian,« wołał głosem błagalnym, »cóż ci to szkodzi, że ucieknę, że będę wolny? Wszakżeś ty nie mój dozorca.«

»Jestem nim, pókiś chory. Cóżby mówiono o lekarzu, któremu trupy uciekają?«

»Niktby nie wiedział, a z resztą, cóż tobie za to zrobić mogą? Och! zaklinam cię panie doktorze, kochany panie doktorze! puść mię, puść mię, choćby tylko za drzwi! przynajmniéj niech jednę minutę będę wolny; choć krok jeden niech będę za więzieniem; odetchnę świéżém powietrzem. Od czasu ostatniéj ucieczki, wszak wiész o tém panie, że mi nie pozwalają wychodzić... Zaklinam cię, tyś taki dobry, panie Zorian.«

»Nie można, nie można.«

Więzień znowu chciał mu się wyrwać, lecz chirurg trzymał go jak w klészczach.

»Nie ruszysz mi się z miejsca powiadam tobie; nie chcę, aby mówiono, żeś zadrwił z méj sztuki.«

»Ja będę wolny, ja muszę być wolny!« wołał Wataszka. »...O Boże! tak długo cierpiałem, a nadaremnie! przez dwa długie miesiące ukrywałem nawet chęć ucieczki; przez całe trzy dni nic nie jadłem, aby zachorować i pójść do szpitala! Tak dobrze udać zmarłego, żeście się wszyscy oszukali! I to wszystko na nic — na nic!... Stanąć u celu i chybić! Och, tego już nadto! tego już nadto!...«

Więzień z wściekłością tłukł głową o podłogę; Zorian wzruszył się jego rozpaczą.

»I cóż ci po téj wolności?«

»Co mi po wolności? Widać, żeś nigdy więźniem nie był... Co mi po wolności pytasz? Bo w tych murach żyć nie chcę; bo chcę wrócić do moich gór przed śmiercią; bo chcę odetchnąć góralskiém powietrzem. Pomyśl tylko, już lat dwadzieścia jak niewidziałem skały i nie jadłem owsianego placka!«

»Ależ ani siły twoje, ni wiek po temu, abyś stare rozpoczął rzemiosło. Umrzesz z głodu na twojéj swobodzie.«

Więzień wykrzywił usta śmiéchem pełnym wzgardliwéj chełpliwości:

»Jam bogatszy niż wy wszyscy.«

»Co — tyś bogaty?«

»Zapewne.«

»Toś szczęśliwy.«

Chociaż ten wyraz wyrzeczony był z ironiją, jednak głos chirurga musiał mieć coś takiego w sobie, co więzień zrozumiał.

»Słuchaj!« mówił po cichu, »chciałżebyś zostać bogatym? Mam tyle, że na dwóch wystarczy.«

»Za kogo mię masz, złoczyńco?«

»Chcę cię bogatym uczynić.«

»Rozumiém — mam należéć z tobą do jakiéj kradzieży?«

»Nie, tylko wziąć, co już gotowe. Pomóż mi uciéc, a podzielę się z tobą.«

»Schowaj te duby smolone dla kogo innego,« rzekł chirurg zawstydzony, że mimowolnie dawał ucho kłamstwom jednego złoczyńcy; »wracaj do sali, i koniec na tém.«

To rzekłszy młody chirurg podniósł się, nie puszczając wszelako obu rąk więźnia.

»Co? nie chcesz mi wierzyć doktorze?« powtórzył z rozpaczą, »głowę ci daję w zastaw, że prawdę mówię; czegoż trzeba, abym cię panie przekonał?«

»Pokaż mi swoje skarby.«

»Tu ich nie mam, tu ich miéć nie mogę; lecz puść mię na wolność, a przysięgam na Boga, że twoja część cię nie minie.«

»Nie wątpię, nie wątpię, mój przyjacielu; a teraz ruszaj, niech cię przykują do muru.«

Więzień stęknął dzikim jękiem. Przez chwilę zdał się być dręczony niepewnością, nakoniec jakby nabrał odwagi:

»Posłuchaj mię!« zawołał, a w głosie jego taki był wyraz prawdy, że chirurg wpatrzył się w niego i już mu wierzyć się skłaniał, »pozwoliszże mi uciec, skoro ci dowiodę, że nie kłamię?«

»To się dopiéro pokaże.«

»Pozwolisz uciec?«

»Sądzę, że nic przy tém nie stracę.«

»Przysięgniéjże.«

»Dobrze, przysięgam.«

»Słuchaj więc... u stóp góry Świętokrzyskiéj, na drodze ze Słupi do klasztoru, gdzie krzyż kamienny — otóż pod tą figurą, na sześć stóp w ziemi, schowałem, lat temu dziesięć, szkatułeczkę ze cztérykroć tysiącami złotych w papiérach.«

»Na kimże ten skarb zdobyłeś.«

»Na pewnym podróżnym, którégośmy tam sprzątnęli.«

»Nędzniku!«

»Cztérykroć stotysięcy złotych!« powtórzył więzień tonem tryumfu, »wystarczy na dwóch, nie prawdaż panie! Jeżeli chcesz, połowa summy jest twoja.«

Chirurg wstrząsnął głową: »Dobrze wszystko, tylko w tém sęk, że już więcéj jak lat dziesięć siedzisz tu w więzieniu.«

»Prawda, lecz zapomniałeś o tém panie, że przed dziesięcią laty uciekłem był z Janoszem w góry Świętokrzyskie, i wtenczasto złupiliśmy te skarby. Z obawy pogoni ukryliśmy je na miejscu uczynku. Nazajutrz żandarmeryja przytrzymała nas w Chęcinach. Późniéj Janosz umarł w więzieniu, a ja sam tylko zostałem panem skarbu.«

Mimo całéj usilności Zoriana okazania się obojętnym, widać było, iż słów więźnia słuchał z natężoną uwagą. Gdy ten przestał mówić, zamyślił się na chwilę, jakby roztrząsał sam w sobie prawdopodobieństwo tego wyznania, lecz nagle wychodząc z téj zadumy, zarumienił się, spotkawszy wzrok rozbójnika w siebie wlepiony, i rzekł tonem, któremu chciał nadać wyraz żartobliwy.

»Bajka twoja dobrze zmyślona, szkoda tylko, że stara; dziś już nikt nie wierzy w ukryte skarby. Powiedz bracie co lepszego.«

Zbrodniarz zadrzał: »Przez Boga! i ty mi jeszcze nie wierzysz?!«

»Wierzę, żeś szczwany oszust, i że lubisz stawiać zamki na lodzie kosztem drugich.«

»Panie Zorian, panie Zorian, miej litość, chciéj mi wierzyć! Szkatułka jest pod kamienną figurą; pewny jestem, żebym ją znalazł.«

»Nie fatyguj się.«

»Panie Zorian, dwie trzecie części dam tobie; dwie trzecie części...«

»Dosyć tego...«

»I wszystkie klejnoty, bo tam są i klejnoty.«

»Dość tego, mówię; ani słowa, wstań!«

Wataszka zawył z wściekłości, i upadł na ziemię. »Nie wstanę; niech mię ztąd wezmą, ani kroku nie zrobię. Och! nie chcesz mi dać wiary doktorze! a jednak, panie Zorian to prawda, jak Bóg na niebie... Nie chcesz mi dać wiary! bez szkatułki, jakże ci dowiodę, że nie kłamię? kilkanaście mil tylko między mną a nią, między więzieniem a bogactwem! Panie Zorian; o, pożałujesz tego... Biada ci, nie chcesz mi wierzyć!«

Nieszczęśliwiec tarzał się po ziemi, w szale rozpaczy; a chirurg bił się z niespokojnémi i kuszącemi myślami. Powieść ta obudziła mu w głębi cały ów świat zgubnych żądz, które tylko w nim dotąd drzémały. Z jednéj strony już prawie wierzył słowom więźnia, i gotów był przyjąć jego ofiarę; ale z drugiéj wstrzymywała go hańba takiéj współki i obawa, by go nie zdradził. Jedna z tych uwag przemogła, i chcąc od razu zbyć się wszelkiéj pokusy, przystąpił do zbrodniarza, i wziąwszy go pod barki, usiłował podnieść dla przeprowadzenia do sali. Widząc, że sam nie da mu rady, zniewolon był przyzwać kogo na pomoc. Zamknąwszy drzwi na klucz, wybiegł na dziedziniec, gdzie spotkawszy dwóch stróżów, kazał im iść za sobą.

Ale gdy się zbliżali do sali sekcyjonalnéj, tuż za murem usłyszeli wystrzał, i w téj chwili jakaś istota naga i skrwawiona pokazała się na końcu dziedzińca. Byłto Wataszka, który zostawszy sam jeden, wymknął się oknem, co szylwach spostrzegłszy, strzelił doń. Zorian w sam czas nadbiegł, aby upadającego przyjął w ramiona; lecz kula pierś mu przeszyła — już nie żył.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

UWAGI PODRÓŻUJĄCEGO

O STANIE WIELU PAŃSTW

EUROPEJSKICH.

Przez Pawła Dercsényi.*)

W końcu ostatniego i w początkach teraźniejszego stulecia, bezpieczeństwo tak państw, jakoteż pojedyńczych osób, tak dalece wojnami z Francyją nadwerężone było, że przemysł i handel

*) Z *Wiener Zeitung* N. 94.

nie mogły tak wielkich czynić postępów, jakbyto w czasie pokoju stać się było mogło, ileże w krainie chemii i mechaniki w czasie onym najważniejsze porobiono odkrycia.

Pokój w r. 1815 przywrócił większej części Europy ową nakoniec spokojność i owe bezpieczeństwo, bez których pomyślność narodów do najwyższego stopnia rozwinąć się nie może; atoli ofiary przez ciąg dwudziesto-letnich wojen poniesione, wyczerpały nie tylko skarby państw wszystkich, ale także interesa pojedyńczych familij postawiły w stanie, potrzebującym prędkiej i istotnej poprawy.

Potrzeba jest i będzie zawsze najlepszą nauczycielką tak pojedyńczych osób, jakoteż narodów, uznano zatém powszechnie, że zaradzając téj potrzebie należy przede wszystkiém handlowi i przemysłowi dać popęd. Po tém przekonaniu samo z siebie wynikło, iż wiele rządów i ludów Europy poszły drogą, mogącą obdarzyć je błogosławieństwami i bogactwami pokoju, a po któréj postępując nikt uboższym, a prawie każdy majętniejszym się staje.

Postępy różnych narodów na téj równie zaszczytnéj jak uszczęśliwiającéj drodze nie mogły być jednakowe, albowiem ich środki, jako to: fundusze, sposobność sprzedaży, produkta i t. p., wreszcie gorliwość i stopień cywilizacyi były różne, w ogóle jednak bardzo znaczne uczyniono postępy i jest rzeczą pewną, że handel i przemysł w wielu krajach europejskich w ostatnich dwudziestu latach przynajmniéj o tyle się powiększył, o ile dawniéj zaledwo w jednèm działo się stuleciu.

Zbadanie środków, najwięcéj przyczyniających się do postępów tego lub owego narodu, naucza inne, czyli, jak dalece i z jakiemi odmianami mają one zastosować środki te do szczególnych okoliczności i na własny obrócić je pożytek.

W tym zamiarze udzielam w krótkości (jak dalece na to obręb i dążność niniejszego pisma pozwala), niektórych spostrzeżeń moich, poczynionych w tym względzie w ciągu r. 1836: w Niemczech, Belgii, Francyi i Wielkiéj Brytanii. Zamiar mój wymaga poprzednio małego wyboczenia od głównego przedmiotu, czemu tak ja, jakoteż czytelnicy moi poddać się musimy.

Dzieje ostatnich wieków w niewątpliwém wykryły świetle owe nauki, co we wszystkich czasach i pod każdą strefą prawdziwémi się okazują. Zastanówmy się nad niemi na chwilę.

Nigdzie bez dobrych środków komunikacyjnych nie uzyskamy trwałego bogactwa. Środki te daje nam natura za pomocą rzék i mórz, a ludzie je ułatwiają przez kanały i gościńce. Drogi komunikacyjne same jedne nie są jednak do tego dostatecznémi, Hiszpanija bowiem i Portugalija więcéj niż przez lat 200 niesłychane gromadziły skarby, a jednak mimo mórz swoich są ubogiemi. Sycylija, lubo ma tak sprzyjające *insularne* położenie i aczkolwiek częściowo bezprzykładnie jest żyzną, nie została przecież bogatą. Wenecyja i Genua zatrzymały swoje gościńce morskie, lecz straciły skarby przodków, przyzwyczaiwszy się więcéj do zbytków i przepychu, niżli do pracy i nauki, podczas gdy Holandyja przy pilności i oszczędności mieszkańców swoich, mimo małego kawałka ziemi, który zajmuje, w każdym względzie bardzo ważnym stała się krajem; podczas gdy Belgija, mimo straty poniesionéj przez odłączenie się od Holandyi, tak widocznie, li skutkiem przemysłowości swojéj, w dobry byt wzrasta.

Gdyby kto z tego nie zupełnie jeszcze przekonał się, że pilność i zapobiegliwość narodu, więcéj niżli tegoż jeograficzne położenie i inne przyrodzone korzyści, do dobrego przyczyniają się bytu, ten niech pomni na to, że Lombardyja bez żeglugi stała się najbogatszym krajem na ziemi, ponieważ jéj ludność naukę zwilżania pól i łąk, i produkowanie na wielką stopę *jedwabiu*, do mistrzowskiéj doprowadziła doskonałości; niech pomni na to, że tak bardzo od wszystkich mórz oddalone Czechy, w ostatnich latach dwudziestu, w dobrém mieniu i kulturze, olbrzymie uczyniły postępy, albowiem znaczniéjsi posiadacze dóbr w tym kraju pilność uboższych dobrym prowadząc torem, nauczali i wspiérali lud prosty; wreszcie niech zważy, jak dalece postępy Prus, mimo dawniejszych niepomyślnych stosunków i nieurodzajności znacznéj części kraju, li w skutek gorliwie i dobrze zastosowanych wiadomości, od całéj Europy nadzwyczajnémi uznane zostały.

Że Anglija, Stany Zjednoczone Ameryki północnéj, Lombardyja, Holandyja, Belgija, Czechy i Prussy w jednym czasie najwidoczniéjsze w dobrém mieniu porobiły postępy, to dowodzi także, iż byt dobry narodów może szybko wzrastać i pod różnémi nawet formami rządu.

Jest przeto rzeczą niezaprzeczoną, że dobry byt ludów zawisł szczególnie od stopnia pilności i przemysłu, z jakiemi korzyści rozmaitych stosunków wedle sił własnych na swój pożytek obracać umieją.

Przemysł Anglii wyprzedza przemysł stałego lądu i tam z przezornością, oraz z dobrym postępując wyborem, najwięcéj nauczyć się możemy; nie robiąc zatém żadnych dalszych wyboczeń, przed innémi stan Anglii zbadajmy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZECIWNICY

NA JEDNYM WÓZKU.

»Janku! zaprzążż do kolasy,
Trzeba mi jechać do Lwowa;
Jakem szlachcic ciężkie czasy,
Z procesu aż boli głowa!
Weź miodu ze dwa gąsiory
I bigosu jaszczyk spory.«

Tak rozprawia pan Podstoli,
Stosy papiérów układa,
Potém głowę jak bundz goli,
I gotów do bryczki siada;
Aże do miasta w podróży,
Wziął pas i kontusz papuży.

»W imię ojca!« żegna konie,
I ruszył Janek jak z procy;
Już wyjechali na błonie,
Lecą szkapy z całéj mocy;
»*Wista, wista!*« Janek krzyczy,
A Podstoli pozwy liczy.

»Czekaj uparty Skarbniku,
Żle ci wyjdą sprawki twoje!
Wydałeś pozwów bez liku,
Ale ja ci kurtę skroję;
Zapobiegnę mojéj szkodzie
Tak w trybunale, jak w grodzie.«

Tak przemawia, w tém zdaleka
Patrzy, coś na drodze leży,
Coś podobne do człowieka,
I zaledwo oczom wierzy
Widząc, że przy samym płocie
Ugrzązł z bryczką Skarbnik w błocie.

»*Servus!* Witaj panie bracie!
Cóżto, na termin spieszycie?«
— »A sąsiedzie! jak się macie?
Patrz ledwom ocalił życie;
Bryczka całkiem połamana,
A termin na jutro z rana.«

— »Mógłbym waszeć tu zostawić
A nie byłbyś na terminie,
Lecz nie chcę się złem osławić,
Zbrudzić w nieszlacheckim czynie;
Siadaj zatém, bez zawodu,
A zawiozę cię do grodu.«

Rzekł Podstoli i wraz z Janem
Z błota wydobył Skarbnika,
A rozczulon jego stanem
Z wrogiem jak z bratem pomyka;
I opatrzność głośno chwali,
I do karczmy zajechali.

Gdy ludzie bryczkę zbijają,
Tymczasem dwaj przeciwnicy
Wspólnie bigos zajadają,
Z jednéj piją miód sklanicy,
Aże w dobrym są humorze
Idzie gąsior po gąsiorze.

Noc ich zaszła, podchmieleni,
Przyjacielscy i weseli,
Razem spać kładą się w sieni,
Na jednéj prawie pościeli;
Augustowskim miodem spici
Obaj śpią jakby zabici.

Z rana stanęli we Lwowie
I wraz spieszą walczyć z losem.
»Na ustęp mości panowie!«
Krzyknął woźny grzmiącym głosem.
Idą..... i..... wracają strony.....
I już wyrok ogłoszony.

Podstoli przegrał na głowę,
Skarbnik zwyciężył w procesie,
Odzyskał łąki połowę,
I jak dawna powieść niesie:
Podstoli nie dość że stracił,
Lecz jeszcze *grzywny* zapłacił.

Gdy proces wziął obrót taki,
Zapewne Podstoli w złości
Wziął Skarbnika na kułaki
I dobrze mu natłukł kości?
Może go nabawił sromu? —
Owszém — odwiózł go do domu.

ST. J.

O SZAMPANIE.

W jednym z dzienników paryzkich znajdują się następujące satyryczne uwagi: »Szampan jest blizkim końca; jestto wypadek mogący być poświadczonym przez wszystkich matematyków i statystyków. Nim 20 lat upłynie, Francyja nie będzie miała więcéj szampana. Szampan stanie się tylko bajką, powiastką, równie jak *nektar* i inne przedpotopowe napoje. I w istocie, obliczmy tylko ile szampana konsumują za granicą. Szampan w Londynie i Madrycie; szampan w Wiédniu i w Rio-Janeiro; szampan w Berlinie i Pekinie; szampan nad zwrotnikami i biegunami. Po wszystkich znanych i nieznanych brzegach wysadzają korki, i szumi piana. Szampan jest pospolitym, tysiączno-językowym i hyperborycznym, równie jak atmosfera, słońce, liście drzew, woda i wszelkie gatunki herbaty. Udawszy się na księżyc, na planety Wenery, Jowisza i Saturna, jesteśmy pewni, że tamże równie napotkamy ludzi, pijących mniéj lub więcéj musującego szampana. Teraz pytamy się każdego (nie handlującego tylko wodą selcerską lub musującemi winami), zkąd to pochodzi, że mała francuzka prowincyja, nazwiskiem Szampanija, może się podejmować odwilżać gardła tylu mieszkańców kuli ziemskiéj? Tyle już wymagano od Szampanii szumiącego i lotnego wina, że teraz zostaje już tak oschłą, jak usta obrońcy co dopiéro przegrał proces. Dawniéj jedynie wielcy panowie i gastronomiczni Krezusi pozwalali sobie szampana; zaś tegoroczne zapusty pochłonęły więcéj szampana, aniżeli cały wiek 18sty. Wszystkie klassy społeczeństwa: rzemieślnicy, pisarze, mechanicy, tancerze, artyści, pocztylioni, bankierowie i akcioniści, z wściekłością rzucili się na szampana. W porządniejszéj szynkowni także żądają szampana. I jakże Szampanija może wydołać tylu

obstalunkom i potrzebom? Naśladując przeto dłużników nie mogących zapłacić, zamknęła swój sklep i zrzekła się swéj patentowanéj piany; grunt jéj zbankrutował wszystkim restauracyjom, ucztom weselnym i cechowym. Cóżto z resztą szkodzi? Żaden człowiek nawet tego nie dostrzegł. Nie przestawano daléj ścinać łby butelkom ustrojonym drutem i smołą, aby wytryskającą wodę cukrową połykać rozwartą paszczą i zamkniętemi oczyma. Żądamy przeto z zamiłowania moralności, iżby Szampanija stanowczo była wykreśloną z mapy Francyi. Żądamy zarazem, aby założono publiczne fabryki szampana, równie jak fabryki oleju i browary. Każdy na tém zyska, albowiem wkrótce nastąpi publiczna konkurencyja o pianę, równie jak konkurencyja o wielojazdy; potém konsumenci toż samo sześćma *sous* opłacą, za co dawniéj po restauracyjach po sześć franków płacili.«

— Ze Lwowa. —

W drukarni Piotra Pillera opuszcza w tych dniach prasę dziełko, zawierające w jednym tomiku dwie powieści oryginalne: 1) *Edgar i Celina;* 2) *Bolesław i Hedwiga* (w 8ce, str. 139). Dziełko to jest utworem jednéj z pań naszych.

Tamże drukuje się także część trzecia poematu dramatycznego Szyllera: *Śmierć Wallensztajna;* przekład miarowo-rymowym wierszem Jana Nep. Kamińskiego. Całe to dzieło wyjdzie wkrótce na widok publiczny.

Donoszą z Wiédnia, że Karol Lipiński zapowiedział na d. 15. b. m. *wielką akademiję muzyczną,* mającą się odbyć w c. k. wielkiéj sali redutowéj. Wszystkie pisma wiédeńskie są dotąd jeszcze napełnione pochwałami znakomitéj gry jego na pierwszym koncercie; niektóre przyznają Paganinięmu romantyczność, Lipińskiemu zaś szczytną klasyczność, a wszystkie w tém się zgadzają, że wszelkie oczekiwanie przewyższył.

Z Warszawy. Za kilka tygodni opuszczą prasę drukarską: *Najdawniejsze pomniki prawodawstwa sławiańskiego*, zebrane przez p. Kucharskiego, profesorą w gimnazyjum warszawskiém na Lesznie.

W Nr. 18. pisma naszego namieniliśmy o *Poezyjach Juliana Grzymałowskiego*, które wyszły w Petersburgu. Teraz wyszedł z druku, równie w téjże stolicy, podobny tomik pod tymże tytułem, brata Juliana, mianowicie *Waleryjana Grzymałowskiego.* »Polecamy (pisze Tygodnik Petersburski) oba te płody względom publiczności; wiémy, że autorowie są młodzi, lecz ile z wydrukowanych dotąd pierwiastków ich poetycznego talentu wnieść można, nie mało na dojrzalsze lata obiecują.«

Z Krakowa. Od dawna już nie miała literatura nasza pisma peryjodycznego w przedmiotach naukowych tak treściwego i głębokiemi pomysłami odznaczającego się, jakiém był *Kwartalnik naukowy*, wychodzący tutaj pod redakcyją doktora prawa, Ant. Zygm. Helcla, a który niestety! już teraz przestał wychodzić. W chwili kiedy tak w Niemczech, jak we Francyi i w Anglii, pisma peryjodyczne coraz bardziéj praktyczno-naukowemi przedmiotami zajmują się, przyjemném było dla nas pojawienie się pisma, poświęconego filozofii, prawnictwu, historyi i literaturze, starającego się upowszechnić zamiłowanie tych nauk, i obznajamiać nas z zagranicznémi w tym zawodzie pracami. (G. P.)

Literackie nowiny południowych Sławian. Na Czarnéjgórze (Montenegro w Serbii), gdzie tamtejszy władyka drukarnię zaprowadził, wyszedł r. 1834 zbiór poezyj, pod tytułem: *Ljek jarosti Turske*; książeczka ta obejmuje 23 stronic w 8ce. Tamże wyszedł r. 1835 noworocznik, pod tytułem: *Gorlica*, wydany przez biskup. sekretarza Milakowicza; na szczególniejszą uwagę w nim zasługuje jeograficzno-statystyczny opis Czarnéjgóry na 136 stronicach. W Belgradzie zaczynają drukować wszystkie pisma serbskiego filozofa: *Dosytheja Obradowicza,* w sześciu częściach. Tamże wydano r. 1832 Stejczja: *Sabor istine i nauke* (str. 219), i Dymitra Tirola: *Politieresko zemleopisanie za upotreblenie serbske mladeże* (str. 175). W Zagrabiu ogłosił sławny gramatyk Berlicz ładny poemat dalmackiego poety Palmotyczja pod tytułem: *Christiada,* leżący od kilku wieków w rękopismie. Zarzucają jednak wydawcy, że w swém wydaniu samowolnie zmieniał słowa oryginału. W Zadrze (Zara) major Jan Kattalinich wydał r. 1835 trzy części swéj historyi: *Storia della Dalmazia; Zara, Battaro* 1834 — 35. Ma to być tylko nie uszykowana kompilacyja. Jako osobliwość w literaturze Słowieńców *(Slavonier)* w Królestwie Slawońskiém mieszkających, zasługuje na wzmiankę tłumaczenie Tomasza a Kempis przez franciszkańskiego prowincyjała w Budzie, teraz wydane, pod tytułem: *Thome od Kempah; od naslidowanja Isukrestowa Kn. IV. u Shlavonski jezik privedene. U Budimu w Uniwersyt. Typogr.* Z. P.

Z Pragi. W piśmie tutejszém *Kwiety* (równie jak w pismach wiedeńskich) czytamy: »Dnia 15go kwietnia mnoga ilość Prażanów spieszyła o południu za bramę Porzycką, a to z następującéj przyczyny: Pewien oficér od huzarów węgierskich, pan Jedliński, Polak, założył się o kilka tysięcy złr. m. k., że za pięć godzin (od ósméj do pierwszéj) dojedzie konno z Pardubic do Pragi, oddalonéj z tamtąd o dobrych mil dwanaście. Dziwiono się powszechnie, jak może człowiek wytrzymać, ażeby w pięciu godzinach mil dwanaście konno ujechał. Lecz zaledwo trzy kwadranse na dwunastą wybiło na zegarach publicznych, słychać było wołanie: *Uz gest tu!* (Już jest tu.) Jakoż na koniu angielskim, po angielsku ubrany, szybkojeździec ten średniego wzrostu, cały niech tak rzekę, zbryzgany błotem, przypędził aż do bramy Porzyckiéj, gdzie z konia zeskoczywszy wsiadł do kocza. Potrzebował więc nie zupełnie czterech godzin czasu do przejechania na rozstawionych koniach przestrzeni tęgich mil dwunastu.«

Hrabia Przeździecki wydał w Petersburgu (r. 1836) w języku francuzkim dramat: *Don Sebastien de Portugal.* Rossyjski donosiciel w »Biblijotece do czytania,« o tém aczkolwiek dobrém dziełku, tak się między innemi wyraża: »Sądzimy, że cudzoziemiec nie powinien oddawać się piśmiennictwu francuzkiemu, chociażby najlepiéj język ten posiadał. Pisać po francuzku bileciki romansowe, robić francuzkie wiersze dla odczytania ich w salonach, grać *voudeville* Scribego na teatrze domowym i t. p., wszystkoto przebaczyć jeszcze można, bo tego Europa nie widzi, *et le ridicule reste dans la famille* (i śmieszność zostanie tylko w kole familijném). Lecz w ojczyźnie swojéj drukować w języku francuzkim dramat, powieść, wierszyki, romans, lub co tém podobnego, jestto w istocie rzeczą haniebną i śmieszną. Jestto poniżać język ojczysty w obliczu całéj Europy, odkrywać całemu światu śmieszność swojéj słabéj strony, okazywać błędny kierunek wychowania, ale to gorsza jeszcze, taką śmiesznością chlubić się przed Europą, szczególnie przed Francuzami. My Rossyjanie tylko swoim rossyjskim piszemy językiem! R. Z.

We Francyi Polak Żeliński wynalazł instrument matematyczny, nazwany *Poligonometr*, służący do zamieniania łatwym i prędkim sposobem wieloboków nieforemnych na trójkąty téj samej powierzchni. Instrument ten ułatwiający bardzo miernictwo, został przyjęty przez rząd francuzki i dziś powszechnie używany przez dyrekcyję kadastrów. (Zbieracz.)

Dla wydania razem wszystkich pism zmarłego nie dawno poety rossyjskiego Puszkina, a co ma być na korzyść pozostałej familii jego przedsięwzięte, połączyło się kilkunastu uczonych, na których czele stanął Żukowski, co do ducha najbliższy Puszkina pokrewny. Dzieła te składać się mają z sześciu tomów, z których piérwszy ma być ozdobiony wizerunkiem zmarłego poety, ostatni zaś ma zawiérać jego życiopis i *fac-simile*.

Dzienniki zwracają uwagę, że w nocy 10go i 11go sierpnia, według wyrachowań pa. Benzenberg z Düsseldorfu, całe niebo ma być okryte gwiazdoskrami, czyli gwiazdami spadającemi *(Sternschuppen)*.

Dziennik *l'Echo du monde savant* donosi, że Dureau de la Malle, człoonek instytutu, i sir Grenville-Temple, podpułkownik huzarów w służbie króla angielskiego, założyli aktem autentycznym pierwsze towarzystwo, dawszy do składki 20,000 frank., na odkopywanie starożytnych zabytków w Kartagenie, skoro na to bej tunetański pozwoli, pod którego rządami zostają rozwaliny tego grodu.

Domy gier w Paryżu dostarczają corocznie w przecięciu 2.600 osób więzieniom, galerom i gilotynie i stają się powodem około 230 samobójstw, ale zato przynoszą kasie państwa przez dzierzawę 6.500.000 fr.

Znany baron Tailor nakupił dla rządu francuzkiego, w podróży swojéj przez Hiszpaniję, za 700.000 frank. 300 obrazów najpiérwszych mistrzów malarstwa.

Założone przez Ludwika Filipa muzeum w Wersalu zawiéra 1.110 portretów, 784 obrazów, a 450 posągów i popiersi.

Pewien cieśla w Paryżu pobijając nie dawno dach, dostał zawrotu głowy, stoczył się na samę krawędź i zaledwo na rynnie mógł się cokolwiek zatrzymać. Czując jednak, że go siły opuszczają, i że na dół spaść musi, zawołał z góry na pracujących: »Baczność, rozstąpcie się!« Pracujący na dole rozstąpili się, a nieszczęśliwy cieśla, domawiając jeszcze słów ostatnich, padł na bruk i roztrzaskał sobie głowę. Umierając uśmiéchnął się do swoich towarzyszy i rzekł: »Jestem sam jeden na tym świecie, a tam na dole stało z dziesięciu ojców familii.

»Mości panie! Mając wzgląd na tak znane po»wszechnie zamiłowanie wćpana w sztukach pięknych, »powracamy mu załączoną miniaturę. Co się zaś tycze »tabakierki, która nią była ozdobiona, téj wćpan, po»nieważ jéj wartość więcéj jest wewnętrzną, zapewne »w życiu nie obaczysz.« Taka była treść listu, który księgarz paryzki B*, wracając nie dawno z salonu w Louwrze, znalazł w kieszeni, zkąd mu kosztowną złotą tabakierkę wyciągnięto. »Zapewne wtedy,« zawołał p. B*, »ukradziono mi tabakierkę, gdy z tak głębokiem rozczuleniem arcydzieło Scheffera, obraz nędzę ludzką wystawiający, podziwiałem.«

Piszą z Algiéru, że Abdel Kader zakochał się po same uszy w pewnéj młodéj Francuzce, która po nieszczęśliwéj wyprawie na Konstantynę w moc jego wpadła. Ta powabna mała zalotnica używa całego swojego wpływu, by skłonić potężnego kochanka do spokojnych z Francyją układów. I tak Francyja winna może będzie utrzymanie przy życiu 20.000 ludzi wdzięcznemu uśmiéchowi i słodkim oczom swéj rodaczki.

Na trajedyi danéj w Amsterdamie potrzeba było wystawić dwie ścięte głowy, leżące w miednicy, do których jeden z aktorów miał przygotowaną mowę. Ale zamiast ściętych głów, użyto 2ch stróżów teatralnych, którzy siedząc pod stołem, za pomocą dziury urządzonéj w stole i w miednicy wystawiali głowy swoje. Jeden żartowniś chcąc ubawić publiczność nasypał na krawędzi miednicy wiele pieprzu utartego, a nic nie mówiąc stanął za kulisami. Zasłona się podnosi, obaj stróże wyścibiają głowy, pieprz im dokucza, kręcą się, ale usiłują wytrzymać tę walkę; w tém aktor grający na scenie obraca swoję mowę do ściętych głów, publiczność natęża uwagę, lecz skutkiem machania rąk grającego, biédnym stróżom naleciało wiele pieprzu w nosy, a nie mogąc dłużéj usiedzieć, zaczęli kichać niemiłosiernie. Bardzo naturalnie, że złudzenie publiczności wnet zniknęło, śmiech ogólny opanował wszystkich, a tak z czułéj trajedyi utworzyła się prawdziwa komedyja.

Wzrost ludności i środków do wyżywienia w Anglii. Podług *Revue Brittannique* ludność Anglii od roku 1780 do 1830 nie tylko, że się podwoiła, ale nadto brak piérwszych środków do wyżywienia bardzo się pomniejszył. W roku 1760 z sześciu milijonów ludności Anglii nie mogło sobie około 888.000 mieszkańców nawet na chléb jęczmienny zarobić, teraz zaś przy podwojonéj ludności, ledwie 50.000 jest takich, coby i takiego chleba nie mieli. W r. 1760 spotrzebowano tylko 2.400.000 ćwiérci owsa dla koni, których liczba tak się teraz powiększyła, iż dzisiaj 10 milijonów owsa potrzebują. Przed 50 laty nie znano prawie około Londynu umyślnego sadzenia poziomek, gdy teraz 1.000 morgów pola niemi zasadzonego za pięć milijonów franków Londynowi poziomek dostarcza.

Przyjaźń małp. Pewien urzędnik ze wschodnich Indyj miał w swoim domu wiejskim między innemi zwiérzętami także burą małpę z czarnym pyskiem, długiemi ramiony i długim ogonem, którą dla jéj złości do pala przykuć kazał. Małżonka urzędnika, przypatrująca się chętnie grymasom téj małpy, widziała razu jednego przy uwięzionéj inne tegoż rodzaju zwierzę. Nikt w poblizkości nie miał takiéj małpy, wnioskowano przeto, że była mieszkanką lasu. Ciekawa scena zaszła między temi nowemi przyjaciółkami. Po wielu grymasach i wydawaniu jakichsić dziwnych tonów, dzika małpa zerwała się z miejsca i chciała się oddalić, lecz powróciła widząc, że druga nie idzie za nią; objęła ją ramieniem za szyję i zdawała się wzywać, ażeby z nią poszła. Uwięziona szła tak daleko, jak daleko łańcuch wystarczał, daléj naturalnie iść nie mogła. Dzika małpa zdawała się po niejakim czasie pojmować przyczynę, dla czego jéj przyjaciółka zostaje, porwała za łańcuch i chciała go rozerwać, ale można się domyśléć, iż wykonać tego nie była w stanie. Po kilkakrotnych podobnego rodzaju nadaremnych usiłowaniach, usiadły obie małpy w smutnéj postawie, czego Indowie nauczyli się zapewne od tych mieszkańców lasu, wylewały łzy i w rozpaczy, jak ludzie, załamywały ręce. Nazajutrz ponowiono tę samę scenę, ale przybyło dwie obcych małp, okazujących najgorętsze życzenie oswobodzenia swojéj przyjaciółki. Próbowały wykonać to najprzód pochlebstwami, potém używały przemocy, a gdy to wszystko nie pomogło, wydawały jęki żałości. Łzy płynęły po ich policzkach i widać było ich rozpacz. Trzeciego dnia przybyło aż cztery obcych małp i odbywały się między niemi liczne a długie narady. Chciały koniecznie pomódz uwięzionéj wyleźć na drzewo, lecz i od tego wstrzymywał ją okrutny łańcuch. Na to wydały tak przerażająco-smutny głos i z taką wściekłością rzuciły się na łańcuch, iż życie ich towarzyszki w niebezpieczeństwie było. Małżonka urzędnika nie mogąc patrzéć dłużéj na te daremne poświęcenia się przyjaźni, rozkazała ludziom swoim uwolnić uwięzioną. Obce małpy widząc, że już ich przyjaciółki łańcuch nie wstrzymuje, oddawały się radości bez granic, co chwila ściskały ją, skakały około niéj, nareszcie wziąwszy po pod ramię, odprowadziły do lasu. Od tego czasu nie widziano ich więcéj.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*